



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50. W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. i sgr. 20.

### Z PAILLÉRON'A.

O dziewczyno, cicha, jasnowłosa!  
Sny miłosne i ciebie pochwyca,  
Lecz nie będą one błyskawica,  
Która w letni zmrok krwawi niebios.

Do twej duszy, co spokojnie marzy,  
Czar miłości zakradnie się zwolna,  
I rozkwitnie jako róża polna,  
Jako róża o wstydlivej twarzy.

Pod powierzchnią dziewiczego łona  
Taka miłość drzemie przyciszona,  
Jak kwiat morski, falami nakryty.

Długo o nim żaden z ludzi nie wie....  
Lecz dzień błysnął—i w światła ulewie  
Kwiat nad morskie wypływa błękity!

Wiktor Gomulicki.

### NIC TRADYCJI.

#### Entuzjastka żona.

(Dokończenie).

Gdyby mąż tylko na dzieci i żonę pracował, byle uczciwie, ręką żadnym brudem niekalając, mo-

ralnej swej godności ducha nie tracąc, to już ma tę ludzką i obywatelską zasługę, że o jego trudzie pracowitym stoi w kraju jedno ognisko domowe, jedna poczciwa rodzina jego siłą się tworzy. Żo- nie też należy to uznawać i poczuwać się do obowiązków współpracy, współtrudu, nie wyobrażając sobie, jak często bywa, że jest powinnością męża, aby jej, choćby za cenę najgorętszego znoju, dobrobyt życia bez troski zapewnił. Żona entuzjastka nie ulega nigdy tak błędnemu pojęciu praw żony a obowiązków męża: dlatego właśnie, że się jako istota ludzka niższą od męża nie czuje, że chce w rodzinie być mu równą, podziału trudów żąda. Już to, że entuzjastka elegantką i zbytnią być nie może; że zalotnych chęci niema, a dumie swojej stawia cel wyższy niż pokaz wystawny, „targ próżności“, jak się angielski moralista Tackeray wyraża, już to ułatwia jej zadanie. Myśl i staranność kobiety troskliwa, nie wybiegająca wtedy poza rodzinę i jej potrzeby, poza święte żony obowiązki, siły jej moralne i fizyczne na jeden, wspólny z mężem, cel skupia i łatwiej, lżej osiągnąć go pozwala. Ciężar na dwoje bark rozłożony jest wtedy, lecz na to nie potrzeba nawet żony entuzjastki: dość pewnego przywiązania do męża, dość uczciwości, sumiennosci prostej, którąby jakietakie uczucie sprawiedliwości podparło, któraby istnienie pasożytnie za grzech i wstyd uważać kazała. To też prawie ogół dawnych kobiet naszych: gospodarnych, pracowitych, surowo obowiązek rodzinny pojmujących, odpowiadał takiemu pierwowzorowi żony dobrej; ale jest wyższy stopień doskonałości, którego żona entuzjastka chce osiągnąć, szczególnie wtedy, gdy mąż jej jakies wyższe stanowisko w narodzie zajmuje, lub chce zająć: gdy prócz zabiegów dla rodziny, jako dobry obywatel dla kraju, dla ojczyzny pracuje. Kobieta entuzjastka poczuwa się narówni z mężczyzną do obowiązku pracy w tym kierunku, gdy jej przecież trudy rodzinne drogę tu zastępować się zdają, czyż ma się wyrzec najsza-

chetniejszych istoty ludzkiej uczuć i porywów; czyż ma pod tym względem żyć życiem biernem, które do ogólnego skarbu narodowego dobra nie nie przynosi, żadnego podatku pracy i ofiary nie składa?

Nie, kobieta entuzjastka na takie poniżone istnienie zgodzić się nie może, szuka zatem drogi, bada stosunki, i jeżeli jest dość inteligentą, aby dobrze patrzeć umiała, odkrywa natychmiast, że jej, jako żonie, zostawiona jest sposobność szerokiego w tym kierunku działania. Nieraz wiwandierka po skończonej kampanii dostaje za to krzyż wojskowej zasługi, że na plac boju niosła wojownikom pokrzepiające ich pożywienie, i wojsko francuzkie aż do ostatnich czasów prezentowało broń przed Siostrą Miłosierdzia, która w ambulansie obozowym opatrywała rannych, leczyła słabych żołnierzy. Oto, żona pracującego dla kraju obywatela, czy to będzie urzędnik lub statysta, pisarz, lub gospodarz rolnik na rodzinnym ziemi zagonie, ma takie same pole współdziałania i uznanej, przyznanej przy jego boku zasługi, jeżeli pracującego dla dobra i prawdy, strzegącego prawa i sprawiedliwości, walczącego ze złym, moczującego się jak Jakób z duchem niebieskim, pokrzepiać i podtrzymywać będzie. Takiej żony entuzjastki obraz, wprawdzie fikcyjny, ale najszlachetniej piękny dała angielska pisarka (Jerzy Eliot) w Dorze, żonie Władysława, która wtedy dopiero do szczęścia i spokoju ducha dochodzi, gdy takie ujście dla swych szlachetnych dążeń znajduje. I cóż ona robi wtedy? Mąż jej zasiada w kole prawodawczem swego narodu, jako członek parlamentu, całości jego dóbr strzeże, nietykalności praw jego pilnuje, nad potęgę jego wzmoczeniem radzi, a ona spokojne, słodkie życie w domu mu zapewnia, aby na rozterki, kłopoty, drobne, powszednie niesnaski sił nie wyczerpywał, aby głowy skolatanęj i rozdartego serca nie miał, i całą dzielność ducha oddawał pracy koło dobra swej ojczyzny.

I ona aż namiętnie go kocha za to, że tak jest, aż pokornie mu służy, aby zawsze, jaknajdłużej, tak być mogło i szczęścia pełność z tego sobie bierze, w tem znajduje spełnienie obowiązku swego względem ojczyzny i społeczeństwa, piękna, dobra, szlachetna kobiecości przedstawicielka—entuzystka żona.

Obok tej pary jest druga: Oktawiusz i Rozamunda. I ten snił, młodzieńcem, sny piękne, wysoko myślą podniosłą wlatywał; że przecież omylił się w wyborze towarzyski życia: że źle, nieodpowiednio dla ducha swego pokochał małołudznią kobietę: żadnego więc z celów swych nie dopiął, na poziom ludzi lichych spadł i, umierając, opowiedział swej pięknej, eleganckiej żonie grecką legendą o kwiecie, który wyrósł z mózgu zamordowanego człowieka.

Lecz nietylko w dziedzinie poetycznych ideałów istnieją takie szlachetne postacie kobiece, jak tamta Dora Władysławowa: znam jeden szczegół drobny lecz charakterystyczny, rys z żywego życia wzięty, który twierdzeniu temu za ilustrację służyć może. Jarosław Wrchlicki, poeta czeski wyższego talentu, należy do rzędu ludzi drogiego społeczeństwu swemu, i choć młody jeszcze, zostaje otoczony czcią narodu, który w nim widzi jedną ze znakomitości swoich. A jest już żonatym; ma ładną, miłą żonę, Ludmiłę z Podlipskich, która, czem jest dla życia poety, domyślić się łatwo z następującego faktu. Małżonkowie w kółku dobrych znajomych wybrali się raz dniem letnim na przechadzkę w okolice Pragi; dzień był gorący, wracano do domu pieszo i miano przed sobą kawał drogi, niemal pół mili, to też poeta, postępujący przodem z kilku panami, zdjął okrycie zwierzechnie, zawiesił je sobie na rękę i zajęty żywą rozmową, szedł dalej, gdy w tem żona podkradłszy się cicho z tyłu i pociągnawszy leciutko raz, drugi, paltot sobie zdobywa, aby potem nieść go wraz z zarzutką swoją. Polak, który był w tem towarzystwie, sądził, że to żart wesoły z poety, który za bardzo roztargnionego uchodzi, ale młoda żona, kładąc palec na ustach, odpowiada, że tu nie o to chodzi. — Jej mąż nie powinien się takim drobnym, pospolitym trudem męczyć, on który na innym polu, innych sił wydatkiem spracować się musi.

To entuzystka żona, to pnący się w górę piękny kwiat kobiecości, co wdzięcznie pień dębu oplata, i kiedyś ta postać niewieścia stanie w pantheonie chwały narodu czeskiego obok swego wielkiego męża i sławę jego nieśmiertelnie z nim dzielić będzie. Jej miłość to zasługa, jej pokorna tklivość to wzniesłego ducha cecha, jej życie tak przy boku męża poety pędzone, to szlachetniejsze wywiązanie się z pracy obywatelskiej, niż gdyby do urny wyborczej gałkę swoją ciskała. Ona głosuje z narodem swoim za wszystkimi ideałami dobra i piękna, przez które mąż jej ducha czeskiego ludu uskrzydla.

Ludmiła Wrchlicka wyniosła z domu rodzinnego tradycją żony entuzystki, bo była nią jej matka: Zofia Podlipska, powieściopisarka, siostra Karoliny Swietli, tej patryotycznej i utalentowanej pisarki, która w dziejach odrodzenia czeskiego zajmuje ważne miejsce jako talent literacki i gorące patryotyczne uczucie. Czechy były wtedy narodem bardzo nieszczęśliwym, pozbawionym praw, woli, głosu języka ojczystego — narodem, który budząc się z letargu wiekowej niemocy, musiał się o to wszystko z pochłaniającym go żywiołem niemieckim spierać, o oddech dla narodowej piersi walczyć. W szeregu tych bojowników był doktor Podlipski i znalazł się też wkrótce w szeregu ofiar nieszczęśliwych. Oderwany na lata długie od rodziny, zamknięty w Ołomuńcu czy Kufsztajnie, w jednej z tych twierdz, które Silvio Pellico nazwał grobami żywych ludzi, pożerany tęsknotą, trawiony nieczynnością, wyszedł z niej gorzej, niż gdyby go prawdziwy grób wyrzucił, wrócił do nieszczęśliwej żony — pijakiem!

Pijak — to człowiek pozbawiony godności wszelkiej, to istota moralnie nieodpowiedzialna, to upadek i poniżenie ducha ostatnie i głosy całej rodziny, a nawet więcej — głosy całego szerokiego koła przyjaciół, znajomych, wołają, że nieszczęśliwa kobieta ma prawo rozvodu, rozdziału. Ale nie: ona tego prawa nie użyje, ona, która zna obowiąz-

zek ofiary, poświęcenia i stoi wiernie przy nieszczęśliwym, który w walce, zaciężkiej na jego siły, potknął się i upadł.

Dla żony entuzystki, to był nietylko jej mąż nieszczęśliwy, ale zapasnik przebity mieczem mocniejszego wroga i rzucony pod druzgoczące koło losu. Mówiono jej, że poświęca dźwiganem go nietylko siebie, ale i dzieci, które źle się chować będą wobec tak upadłego ojca, ale szlachetna ofiara jest zawsze posiewem ziarn szlachetnych i świadectwo tej prawdzie daje dziś jej córka. Darena jej zostało życie w czasach szczęśliwszych i już nie tragicznie smutnym, nie tragicznie posępnym jest anioł niosący natchnienie dla jej entuzyzmu.

Ta żona, która potrafi wespół z szlachetnym mężem pracować, wespół ze szlachetnym mężem cierpieć, która dla dostojnie pojętej jego miłości umie się poświęcić, i w nieszczęściu go nie opuści, w upadku dźwignie, która do jego wysokości chce dorosć, a nie jego do swojej małości zniżyć — to entuzystka żona.

Entuzystką żoną jest także ta, która w powszednią pracę koło domowego ogniska umie sobie wpleść myśl wzniosłą o rzeczach nie powszednich, która dlatego pokochała człowieka z celem życia wysokim, aby się łączyła za pośrednictwem swej miłości dla niego z celu takiego wyznają, aby w niewieściej, domowej posłudze dla tego męża, służyła pracownikowi na niwie dobra ogólnego, służyła krajowi i społeczeństwu swemu. Miłość żony entuzystki nie przetrwa też nigdy dłużej, nad uczciwość i duchową dostojność męża: ani chleba, ani serca nie podzieli z podłym, przeniewierczym, nieszczelnym. To były żony entuzystki, które z miasta obłożonego wynosiły na ramionach mężów swoich, gdy im pozwolono zabrać skarby ich najdroższe i entuzystką także była owa żona, bohaterka niemieckiego poety: Gertruda Stauffacherowa, która mówi mężowi w godzinie życia stanowczej:

„Przed siebie patrz, za siebie nie oglądaj się, mężul

Przed nim był obowiązek, poza nim ona, dom — ten dom, o którym on jej przypomina, „jak cieszył ją, skoro zbudowanym został“; ona niemniej woła z zapalem szlachetnym:

Gdybym tak kiedy sercem do dóbr ziemskich

[przyrosła,

Własna-by moja dłoń głównie na dach ten

[cisnęła....

Gertruda dodaje:

Musimy przenieść wszystko, co dopuszczają Nie-

[bios,

i tylko nieprawości nie zniesie serce szla-

[chetne.

M. I.

## NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Mówił sobie, że o honor Domu Radziwiłłowskiego chodziło. Z Nieświeża wiedział już, bo miał tam także swych sług i donosicieli, że książę hetman się również do Warszawy, na inwestyturę, wybierał i miał być świadkiem jego tryumfu. Chciał potęgi swej okazem i brata też zaćmić, który się na nic podobnego nie kusił.

Wszystko to wzmagało gorączkę — tak, że dnia tego chorąży o Faustysi zupełnie zapomniał i gdy nad wieczór o niej napomknął Wolski, rozkazów żądając — jak osłupiały milczał chwilę.

Żał mu było na kilka tygodni perełkę opuścić i wyrzec się tych słodkich godzin marzeń, które przy niej spędzał.

— Ja tu, proszę jasnie oświeconego księcia — rzekł Wolski — gorszą podobno sprawę mieć będę z temi babami, niż Butrym z niedźwiedziami.

— Pilnuj mi ich, jak oka w głowie — postawił strażę, żeby się tam żywa dusza nie wcisnęła — odezwał się książę. — Zresztą, sam Zaborskiej nakazę, aby pilnowała córki.

— Gdybym ja tego niegodziwca Butryma dostał, byłbym spokojny — odparł Wolski — ale jak lis mi się kręci popod nosem, jest gdzieś w okolicy, wślizga się do miasteczka, a pochwyć go ani sposób.

— Boś ty już doniczego! — zawołał książę. — Lodzi masz, rozkazujesz, robisz, co chcesz: i jednego zuchwalca nie możesz złapać, który nam tu pod nos swędzi.

Chorąży splunął i o wybieraniu się w drogę rozprawiać począł. I to też była sprawa niemała. W Warszawie się z ladajakim dworem Radziwiłł pokazać nie mógł, tembardziej, że rywalizował z hetmanem.

Wojska wiele nabierać nie chciał, a co przedniejszy poczet musiał mieć z sobą. Dalej szli urzędnicy znaczniejsi dworu, służba, czeladź, hajducy, kuchnie, konie, naostatek i z powozami niewiedzieć co robić było, gdyż odwilż wątpliwem czyniła, czy do Warszawy na grydżach się dostać będzie można, więc na wypadek i koła i powozy iść musiały.

Teraz zawczasu już trzeba było przodem ślać część ludzi, dla zapewnienia popasów i noclegów, gdyż zimą obozować pod namiotami, jak się trafiło w lecie, nie było sposobu.

Dnia tego książę tylko ze się po obiedzie zdrzemnął nieco, zresztą cały czas miał zajęty. Ciągłe ktoś zawołany przychodził, instrukcje odbierał, oddalał się i zwracano go znowu. Nad wieczór książę, nie wytrzymałszy, do sanek zaprzęgać kazał, choć odwilż już była, i postanowił pojechać, sam obejrzyć ów tabor za miastem, który nazajutrz do Warszawy miał wyruszyć.

Widok to był rzeczywiście ciekawy a osobliwy. Ogromną przestrzeń pod laskiem sosnowym zajmowały naprędce uklecone zagrody, często kołami otoczone, sieciami dla większego bezpieczeństwa opasane.

Wozów i san, przygotowanych do przewożenia klatek ze zwierzem, stało jakich paręset, powyprzęganych, około których chłopci z dóbr spędzeni, leśnicy, stróże, przy porozpalanych ogniskach obozowali. Krzyk i wrzawa a zamęt panował tu wielki. Butrym z pomocnikami konno objeżdżał ciągle do koła, rozkazy wydając.

W pośrodku, nieforemne, pozbijane z dragów, z łąt, pookuwane żelaznami klamrami, stały różnej wielkości klatki ze zwierzem. W nich niedźwiedzie po dwu i po jednemu, łosie, sarny, kozły, wilki, lisy, a naostatek i biedne zające, których na seciny liczone.

Rozmaite głosy i ryczenia dochodziły ztąd, a psy łowieckie, których też liczba nie mała szła ze zwierzem, wyły i szczekały.

Mniej oswojone z tym widokiem konie pierzchały, rzucały się i napędzić ich bliżej nie było podobna. Sam książę nawet dojechać do zagrody nie mógł, wysiadł przed nią, a że błoto już było, tarcice mu położyć musiano, aby się bliżej przypatrzył.

Znawca zwierza niepospolity, stary, namiętny myśliwiec, chorąży przypatrywał się i uśmiechał. Napewno — myślał — król podobnego polowania nigdy w życiu nie miał. Same niedźwiedzie w takiej liczbie — były osobliwością, którą tylko Radziwiłł mógł poczęstować, a były między niemi egzemplarze takiego wzrostu i tuszy, jakie rzadko kto oglądał.

Łosie też w ogromnych, jak chaty, kłeciach majestatycznie wyglądały, choć stały ze lby spuszczone. Widok tego zwierza pocieszył i rozweselił księcia.

Zawołano Butryma.

— Masz dosyć koni? — za pytał książę — odwilż, jak na umyślną sekaturę dla mnie, się uwzięła. Za-





tuaitas przekładu łacińskiego), mogą się do pojęć materii i formy znajdować tak, jak u niego, w stosunku prostym; ale nie nie przeskadza przedstawieniu ich w stosunek odwrotny. Jeśli zechcą uznać formę za myśl moją, istniejącą tylko we mnie, będę musiał koniecznie przyznać, że poza mną istnieje ona dopiero w stanie możliwości; i naodwrot: materia poza mną już istniejąca, choć bez formy, nie potrzebuje jej dla istnienia swego, aby być rzeczywistością. Słusznie zwrócono uwagę, że możliwość jest pojęciem subiektywnym, nie zaś stanem rzeczy: rzecz każda ma zawsze swój stan istotny, a możliwość przejścia w stan inny tkwić winna, nie w myśli mojej, ale w rzeczywistości, równie, jak i rzecz sama, przyczynach, które na nią działają. Ziarno jest ziarnem z pewnemi własnościami, a tylko wyobraźnia moja pozwala mi, dzięki tym własnościom, przedstawić je sobie jako możliwe drzewo. Podobnie marmur nie jest możliwym posągami, któryby z niego tylko wyjść potrzebował; ale posąg istniejący w duszy mojej jako myśl może się stać materią, to jest rzeczywistym posągami. Materia nie jest prostą tylko możliwością, ale rzeczywistością świata, wspólną filozofii i nauce ścisłej, a jeżeli ją tylko za możliwość uważać zaczniemy, schodzimy ze stanowiska filozoficznego na konwencjonalny grunt życia powszedniego i materią zamieniamy na *material* dla formy czyli idei. Od tej chwili zaczynają gospodarować garncarz i stolarz, znikają filozof.

Arystoteles, przeciwstawiając formę materii, w formie zamyka ideę i panowaniem jej nad materią zabezpiecza byt świata ideałów, wymarzonego przez Platona, tego największego i najwspanialszego z poetów. W istocie rzeczy oba systemata wyrastają z pnia wspólnego; tylko, szczyt zapalenie, syn Arystonów nadaje ideom swoim władzę nieograniczoną, gdy chłodniejszy, a więc i ostrożniejszy, Arystoteles, rachując się z rzeczywistością, przyznaje byt, nietylko ideom, ale i ich przejawom, rzeczom świata zewnętrznego. U Platona świat ten jest tylko snem; w tym snie istoty, a właściwie zjawiska, przesuwały się jako cienie po ciemnej ścianie, do której wzrok swój, stęsknieni i zbolali, przykuwamy; u Arystotelesa rzeczy świata tego są istnościami, w ciągłym potoku bytu zmieniającymi się, przechodzącymi z jednych w drugie, — płynąciami bez początku i końca, z otchłani w otchłani. To odczuwanie potęgi i istoty bytu, polegającej na ciągłej przemianie, zaszczycało filozofią grecką jeszcze od czasów Empedoklesa, Demokryta i Heraklita. W obrazowych wyrażeniach tego ostatniego ciągle stawanie się rzeczy podobne jest do łańcucha ciągnącego się w dwóch kierunkach obok siebie idących: jednym, wstępującym w górę, drugim, zstępującym na dół. Wobec tego ciągłego ruchu Heraklit nie wierzył, aby coś *trwał* mogło w świecie, wierzył tylko w to, że ciągle wszystko się zmienia. Nauka dzisiejsza nic innego nie mówi.

Arystoteles przyswoił sobie myśl Heraklita, ale ją jeszcze wydoskonalił. Mając wogóle na ów wiek, w którym żył, wyborne, choć w stosunku nawet do współczesności, niezawsze od błędów wolne, pojęcia o życiu natury <sup>1)</sup>, poustawił na sobie trzy królestwa: mineralne, roślinne i zwierzęce, jak trzy piętra jednego budynku, w którym życie przechodzi coraz wyżej a tworzy niższe służą za tworzywo dla wyższych. Poczucie tej łączności, tej, jakby powiedzić można, jednolitości bytu, skłoniło umysł Arystotelesa do odróżnienia w człowieku troistego życia: roślinnego, zwierzęcego i rozumowego. Późniejsza filozofia ukształtowała ztąd trzy osobne dusze, a panowanie troistości było tak silnem, iż dziś jeszcze niejedyn wyższy umysł, pisząc o człowieku, władzy jej ulega.

Po pojęciach *attributum* i *modus* u Spinozy, po *Ding an sich* i „kategorjach“ Kanta, „przymioty istotne i przypadkowe“, jako też „substancja“ i „kategorje“ Arystotelesa, już tylko historyczne znaczenie dla ontologii mieć mogą; istotną jeszcze

wartość posiadają dla logiki, tej, obok znakomitego zbioru rozpraw o państwie, najlepszej części filozofii Arystotelesowej. Ustosunkowanie jednostki do gatunku i gatunku do rodzaju w systemacie Stagiryty wypływa z ustosunkowania ogólnego *idei do rzeczy*, o którym wspomniano już wyżej. Tutaj dodać wypada, że Arystoteles przez swoje „gatunki“ zaćmił tylko jasność idei platońskich, a dwóch światów, od początku samowiedzy ludzkiej ciągle ze sobą skłóconych, przez przyjęcie bytu pośredniego bynajmniej do pożądanego jednostki nie sprowadził.

Wyborne poznanie rozsądkiem i uplastycznienie wyobraźnią ciągłej zmienności zjawisk, która w umyśle Arystotelesa malowała się, jak nieskończona, nieogarniona, w żadne brzozi nieujęta rzeczka wszechżycia, bez początku i końca — czynią go prawdziwie wymownym i wzniosłym, gdy nam w *Fizyce* swojej czas jako istotę tkwiącą w samym następstwie zjawisk maluje. Oryginalnym na wskroś jest jego pojęcie przestrzeni. Arystoteles dowodzi, iż właśnie dlatego, iż czas jest nieskończonym, przestrzeń skończoną być musi. Czas tedy i przestrzeń znajdują się do siebie w stosunku odwrotnym. Ruch świata poczynający się od najdalszej sfery, którą Bóg sam porusza, jest, równie jak czas, nieskończonym; nieskończone też są, bez początku i bez końca, materia i forma. Nieograniczoność czasu wypływa już z nieograniczoności materii i zmian stanowiących życie świata, a jest koniecznym warunkiem dla istnienia samego Boga; ale właśnie ten Bóg, mając czas nieograniczony, potrzebuje dla siebie ograniczonej przestrzeni i skończonego w niej świata: nieskończonością bowiem nie mógłby poruszać i rządzić. W ten sposób zgładził Arystoteles nieskończoność światów, przeczącą przez Demokryta.

Idea Boga owiele wspanialej występuje w systemacie platońskim, niż u Arystotelesa, gdzie jej trochę zaciąsną, gdzie, nie mogąc się za świat zjawisk z należytą swobodą wylać, usiłuje ona przyniknąć w rzeczy przez formę i nieco panteistyczny systematowi całemu nadałaby charakter, gdyby go przed tem niebezpieczeństwem filozof nie obronił przez wyraźne wprowadzenie do życia wszechwładnej teleologii i oddzielenie Boga od Świata. — Moralność Arystotelesa jest czystą, jasną — idzie w kierunku chrześcijańskiej; ale nie wynika tak, jak u Platona, z miłości ideału, tylko przedstawia się jako wypadkowa wstrzemięźliwości i panowania nad sobą między dwiema ostatecznościami. Cnota przez to nie ma swojej własnej podstawy, własnego źródła, i od grzechu różni się tylko ilościowo. Arystoteles takie prawo równowagi postawił główną, z myślą zwróconą na gwałtowne affekty, na zapalność i wybuchowość natury ludzkiej, i chciał tę naturę właśnie uspokoić, pod władzę rozsądku podbić. Umiarkowanie, panowanie nad sobą, jest dla niego w tem znaczeniu jedyną rzeczywistą cnotą: „Rządź sobą dobrze, a będziesz dobrym“, taka była myśl jego. Pojęcie siłowności, jako siły poruszającej, wnosi Arystoteles z moralności do polityki i prawa. Wyrównywanie stosunków, utrzymywanie równowagi między ludźmi, jest najprzedniejszym zadaniem państwa Arystotelesowego. Cel wspólnego istnienia tkwi w szczęściu wspólnem, a pierwszym stanem i podstawą najgłębszą tego szczęścia, — *spokój*.

Arystoteles jest najpopularniejszym filozofem teologii chrześcijańskiej, która dług popularności tej spłaca mu z tytułu spadku po scholastyce średniowiecznej objętego. Jest on również z pomiedzy filozofów greckich najmilszym dla sfer arystokratycznych — nie mówimy o naszych, te bowiem takimi błahostkami jak filozofie, Arystotelesy, Platony i cała wiedza nie zajmują się wcale. Jego rozsądek, jego godzenie się z rzeczywistością, jego wiara w nieśmiertelność duszy, jego optymizm, jego niechęć do demokracji, samo nawet jego wyformułowanie cnoty jako pewnego chłodu, przy idealistycznym kolorycie systematu, przy wierze w *voûc*, pochodzący od Boga, i względności dla kultu stanowionego — zjednywają mu niebezzasadnie umysły wyższego świata. Oczywiście, to braterstwo intelektualne należy rozumieć we właściwym jego znaczeniu: nie arystokracja tu zniża do Arystotelesa, ale Arystoteles wstępuje do arystokracji.

Dobrze jest popularyzować filozofią, ale potrzeba ją dobrze popularyzować. W rzędzie przymiotów niezbędnych w wykładającym dla wielkiej, to jest tłumnej, publiczności, najpierwsze miejsce zajmuje zdolność wyciskania z rzeczy pod wykład podpadających tego, co ich treść najistotniejszą stanowi; drugim jest zdolność wybierania rzeczy najważniejszych, to jest takich, z których-by złożyć się dał jaknajpełniejszy charakter, czy-to człowieka, czy jego pism, czynów lub nauk; trzecim jest dar wyrażania jaknajwiększej ilości myśli i faktów jaknajmniejszą liczbą słów; czwartym nakoniec umiejętnie wysłowienie, czyli umiejętność wprowadzenia z siebie tego, co, przy spełnieniu się trzech pierwszych warunków wewnątrz człowieka, w samym jego umyśle, powstało. Daleko łatwiej jest napisać monografię, niż dobry wykład publiczny: do monografii wystarczy wiedza rzetelna i logiczne myślenie; do wykładu publicznego, któryby był, nietylko smacznym, ale i posilnym, potrzeba, oprócz wiedzy, tego talentu, w którym się mieści i głębokość wszechstronnego umysłu, niezbędna dla ułożenia treści, i zarazem dar słowa, potrzebny dla nadania jej należytej formy. Pisanie odczytów jest sztuką, której ani sama tylko sumiennosc, ani jej przeciwstawienie, podtrzymujące się jedynie czczością, nie zastąpi.

Tegoroczny odczyt p. Dzieduszyckiego dał publiczności słabe bardzo wyobrażenie o filozofii Arystotelesa. Były w tym odczycie upodobania i wstręty rozumnie nieusprawiedliwione, było zamieszanie jednych, wywyższanie innych faktów, były niedokładności <sup>1)</sup>: całokształtu, charakteru filozofii mędrca greckiego nie było. W trzech godzinach dałoby się coś powiedzieć o Arystotelesie; ale p. Dzieduszycki, jak to raz już zwróciliśmy uwagę, nie ma daru wyciskania istoty z rzeczy, a zwracania uwagi, nie na najbliższe i najłatwiejsze, lecz na najważniejsze, strony danego przedmiotu. Wykład p. Dzieduszyckiego nie miał żadnego punktu wyjścia z samej filozofii Arystotelesa wziętego, nie miał też żadnego wewnętrznego, przedmiotowego porządku; pominął rzeczy ważne, jak „kategorje“, jak pojęcia estetyczne i edukacyjne; nie wyzyskał należyte żadnej z pięciu głównych części filozofii wielkiego Stagiryty. Ujmowanie się za Arystotelesem przeciwko Demokrytowi i nowszej nauce, nie przystało umysłowi oświeconemu. Krytykowanie „ciążenia na dół“ było bezpodstawnem: boć przecież gdzie jest ruch prostopadły, tam jest zarazem „góra“ i „dół“. Rozwlekłe wywody z „ołowiem“ i „wodą“ maciły tylko w umysłach, nic im zgola nie dając. Razil nakoniec cały sposób wykładu — jakiś nieprzystający do filozofii — sposób popularny tak dalece, że aż pod powłoką tej popularności filozoficzność samego przedmiotu zupełnie zniknęła.

S. K.

## RUCH MUZYCZNY.

*Tempora mutantur!*... Przypominamy sobie, jak przed 8, 10 laty kronikarz na temsamem miejscu narzekał na coroczną powódź koncertów, których wysłuchać, a cóż dopiero zdać o nich sprawę, zupełnym zdawało się niepodobieństwem. Stopniowo ten stan rzeczy jednak ulegał zmianie; coraz mniej wędrownych ptaków przylatywało zwabio-

<sup>1)</sup> Rażąca niedokładnością było uporeczywe nazywanie tej formy państwa, w której rządzą wszyscy, *demokracją*, a wyrodnego jej przeciwstawienia *timokracją*. Usłyszawszy to ostatnie, uszom własnym nie chcieliśmy wierzyć. „Tymokracja“ (*τυμοκρατία* albo *τιμοκρατία*) nazywa się taki systemat, w którym prawo polityczne zależy od pewnego oszacowania (*censura*, *census*) podatkowego. W podręcznikach zazwyczaj przeciwstawiają demokrację „ochłokracji“, a nie „timokracji“, która tu nie ma żadnego sensu. Arystoteles nie znał wcale, ani tych określników, które mu przypisuje p. Dzieduszycki, ani tych, które utarł nienaukowy zwyczaj. W księdze III rozdz. VII swych *Politica*, nazywa on formę prawnitą rządzą wszystkich *πολιτεία*, wyrodną *δημοκρατία*, to jest tak, jak prezydent nazwał formą dodatnią. *πολιτεία* znaczy u Arystotelesa państwo, w którym rządzi stan średni i wyższy na zasadzie stałej ustawy. W demokracji widział Arystoteles nieuchronny komunizm i anarchię; nie mógł zatem uważać jej za formę prawnitą.

<sup>1)</sup> Z liczby takich błędów, które nas słusznie w Arystotelesie zadziwiają, należą np. mniemania o odrębnej budowie cząstki kobiecej w porównaniu z męską, o pustem miejscu w tyle głowy, o niższości ciepła w lewej połowie ciała i t. p.

nych głosem uludnym Nadwiślańskiej Syreny, a i z tych wielu, umoczywszy tylko skrzydełka, co prędzej odlatywało, poznawszy, że Syrena jest grymasną i wymagającą... Dziś doszliśmy do tego, że, nie biorąc w rachubę licznych miejscowych talentów (dla których najczęściej polem popisu jest Towarzystwo Muzyczne lub koncert filantropijny), tylko parę pierwszorzędnych znakomitości odważy się na koncerty własne w zimowym sezonie. A i ci, jakże często niedostatecznie za swe trudy wynagrodzonymi bywają!

Do takich pierwszorzędnych należy młody i niepospolity wirtuoz, Karol Heymann, fortepianista, którego sława od niedawnego dopiero czasu po świecie rozchodzić się poczyna. Heymann w przedostatnim tygodniu wielkiego postu dał w Warszawie 3 koncerty, darzony coraz wzrastającymi względami publiczności, ale przez krytykę bardzo różnie przyjmowany. Jedni zaraz po pierwszym koncercie nazwali go „genialnym“, nie przypuszczali nawet, aby się ktoś mógł znaleźć, coby go śmiało krytykować; inni nawet po trzecim koncercie robili mu przesadne zarzuty, nawet co do dzieł, które wykonał dobrze, zarzuty zresztą nieoparte dostatecznie specjalnym rozumowaniem. Czytając te, tak sprzeczne z sobą, zdania, niemuzykalny czytelnik już samym instynktem z pewnością-by odgadł, że Heymann jest znakomitością, i że tylko oryginalnością swych pomysłów tak różnorodne sprawia wrażenie. Jakoż z pewnością nie słyszeliśmy dotąd w życiu fortepianisty, któryby przy tylu niezrównanych zaletach posiadał tyle kardynalnych wad. Jego zalety są: pierwszorzędna technika, wykończona do najwyższego stopnia, przesłizne piano, niepospolita siła, czarujące dotknięcie, szalona biegłość w oktawach, trylach, passażach, lewa ręka wyborna; przytem z przymiotów duchowych widnieje nieraz marzycielstwo i poezja, przeplatane szalonymi wybuchami niczem niekępowanym zapałem. Przy tem wszystkim spotykamy w grze p. H. tyle niczem nieusprawiedliwionej, swawolnej fantazyi, takie usposobienie do zmieniania charakteru, a nawet i tekstu wykonywanych autorów, że mu tego muzyk w dobrej wychowanej szkole przebaczyć nie może. Pomijamy już to, że cała postawa H. przy fortepianie bynajmniej klasyczną nazwać się nie może; że H. siedzi zanizko, dłonie trzyma zawysoko, tak, iż gra ciągle jakby ze spodu, pomijamy niepotrzebne ruchy ramion, łokci, etc. Pomijamy to, szczególnie z tego względu, że doskonałość techniki nie na tem nie traci, i że tu musimy przypuścić jakieś kaprysy, czy potrzeby indywidualne, które zmuszają artystę być *zewnątrznie* nieprawidłowym. Lecz ważniejsze są błędy w stylu. Pewna gorączkowość, pewien nie pozbawiony poezji zapał, tak unosi artystę, że żadne prawie Andante, żaden spokojniejszy temat nie jest wytrzymały cierpliwie. Półnuty nieraz zamieniają się na ćwierci, frazesom spokojnym przybywają jakieś akcenta, jakieś kropki po nutach, które frazie z równych nut złożonych nadają charakter ucinkowy, szarpany; wiele nut, które powinny być mocnymi, są słabe, i odwrotnie. Krytyka ma więc dosyć do roboty, aby scharakteryzować taką grę, i tu musimy się zgodzić na słowo sprawozdawcy „Kuryera Warszawskiego“, który utrzymuje, że ci, co się bezwzględnie Heymannem zachwycają, biorą to, co być tylko może w przyszłości, za już spełnioną rzeczywistość. Heymann tak niedawno jeszcze na szerszą skalę koncertuje, że jego planów stylowych bynajmniej za ustalone uważać nie należy. Przedewszystkiem byłoby bezwarunkowo pożądanym, aby swojej cokolwiek excentrycznej metody nie stosował do dzieł Szopena, który właśnie nie znosi tych „kątów ostrych“, jakie mu narzuca artysta w swej interpretacji. Ale poza Szopenem (w którym również wyróżnić należy wiele miejsc pięknie granych, jak Andante spianato, wiele ustępów z Sonaty i t. d.), nie widzimy tyłu i tak szalonych zdroźności. Usłyszawszy w wykonaniu Heymanna trzy Sonaty i Koncert Es-dur Beethovena, doszliśmy raczej do przekonania, że tylko nieliczne ustępy surowszej ulegać-by powinny ocenie, a i na tych ujemną stronę wpłynąć mogło chwilo-wo zbyt nerwowe usposobienie grającego. Z pewnością najwięcej było niepewności stylu w Sonata

cie D moll (Op. 31), którą słyszeliśmy na zebraniu prywatnym u p. Gebethnera. Ale tego dnia właśnie artysta był zupełnie nieusposobiony, zmęczony, i grał jedynie dla zadośćuczynienia uprzejmemu zaproszeniu. Sonata Appassionata, grana na pierwszym koncercie, była wykonana w części pierwszej wybornie. Adagio było trochę zimne, co rzadko się zdarza u Heymanna, a finał trochę zabłady, i tylko przy końcu znów zagwałtowny. Ale co do Sonaty op. 53 (c-dur), której wykonanie wydało się temuż wyżej wymienionemu sprawozdawcy tak pozbawionem stylu, wyznając z pokorą, że nic a nic tego nie zauważyłem, i że przeciwnie, najzupełniej mi się wydała zagrana prawidłowo, a co do koncertu Es-dur, tym bezwarunkowo byłem zachwycony. Ten styl pełen kontrastów, to powiewne, poetyczne pianissimo, ta szlachetność frazowania, najzupełniej odpowiadały stylowi wielkiego dzieła. Schumanna mało słyszeliśmy, bo tylko Vogel als Prophet, des Abends i Arabeske, które to rzeczy wykonał artysta przesłiznie. Rzeczy repertoaru lepszego grał H. nieporównanie, do nich zaliczamy 2-gą Rapsodyę Liszta, Parafrazę ze Snu nocy letniej, własne Elfenspiel koncertanta i 4-tą Rapsodyę.

Tak przy Heymannie, jak i wobec innych, najznakomitszych pod względem techniki, wirtuozów, możemy zawsze z całą swobodą i bezstronnością zachwycać się grą Alexandra Michałowskiego, którego każdy występ publiczny prawdziwą jest dla Warszawy uroczystością. Technika pana M., zwłaszcza w niektórych Liszta rzeczach, w koncercie St. Saënsa, jest przesłizna, a i pod względem deklamacji i cieniowania artysta dziś wznosił się znacznie wyżej i ciągle na tej drodze postępuje. Wspólnie z nim sympatują publiczności dzieła Stanisław Barcewicz, skrzypek, który widocznie powołany jest do zajęcia dziś w świecie wykonawców tego miejsca, jakie wobec poprzedniej generacji zajmował Karol Lipiński. Technika Barcewicza nie jest bajeczną, ale piękną bardzo, i wystarcza na pokonanie pierwszorzędnych zadań, a największą i specjalną jego grą zaletą jest ów ton szlachetny i silny, owo uczucie dziś tak już w grze widniejące, które wyróżnia B. bardzo stanowczo w szeregu skrzypków europejskich. Nie mówiąc już o częstych występach obu artystów na cele dobroczynne, lub w koncertach kolegów, chcemy wspomnieć szczególnie o świetnym koncercie, który z ich współdziałaniem urządził w Sali Ratusza dyr. Tow. Muzycznego, p. Zyg. Noskowski. Programat był wspaniały: Barcewicz koncertem Brucha, Michałowski koncertem A. Saëns'a, zachwycali słuchaczy, zaś Noskowski dyrygował z pamięci Sonety Krymskie Moniuszki, wykonane pod jego umiejętną dyrekcją doskonale. Koncert ten, powtórzony w kilka dni później w Sali Towarzystwa, miał jedną smutną stronę. Oto celem jego finansowym było pokrycie znacznych niedoborów, na jakie narażonym został pan Noskowski jako dyrektor własnej orkiestry, i które, niestety, pokryć się zupełnie nie mogły, skoro koncert ów był tylko teje orkiestry śpiewem ląbedzim. Heroiczne usiłowania pana N., jego marzenia, aby Tow. Muzyczne własną posiadało orkiestrę, rozbić się musiały o obojętność ogółu. Już letnie koncerty w Dolinie Szwajcarskiej, mimo nadania im charakteru tak sympatycznego przez wprowadzanie tyłu dzieł kompozytorów polskich, w rezultacie doprowadziły do znacznej materialnej straty; dalej projekt subwencyonowania orkiestry przez Towarzystwo Muzyczne, w razie wzrostu liczby jego członków, nie mógł się urzeczywistnić: nie pozostawało więc nic innego, jak rozstać się z pięknymi marzeniami i orkiestrę zwinąć...

Liczba zwolenników Tow. Muzycznego, mimo starannej Dyrekcyi, wcale nie wzrasta, i w tym roku na Ogólnem Zebraniu, niedawno odbytem, ostrożny komitet już tylko opłatę od 600 członków zamieścił przy układaniu nowego budżetu. Tow. Muzyczne przechodzi obecnie przez tak smutną kryzys finansową, jakiej dotąd nie doświadczało. Niemożność opłacania zbyt wysokiego komornego zmusiła do urządzenia się w ten sposób, że Towarzystwo od 1 Kwietnia wynajęło dla siebie skromny lokal złożony z kilku pokoi, dla umieszczenia biblioteki i dla prób, zaś o wieczory zawarło umowę z Resursą Obywatelską, która swej

Sali udzieli Towarzystwu 30 razy w ciągu roku za opłatą 1.800 rubli rocznie. Ponieważ kombinacja ta z lokalem i Salą da oszczędność wynoszącą od 2.000 do 2.500 rubli, przeto możemy mieć nadzieję, że się tym krokiem Towarzystwo Muzyczne wyratuje, a wyratowawszy się, i spłaciwszy zaciągnięty dług, może zdoła wznowić kwestyą stypendyów i wydawnictw od lat kilku znajdującą się w zawieszaniu. Zresztą, prawdę mówiąc, nie powiem, abyśmy żalowali kosztownego lokalu, który jedynie chyba ostentacyjny mógł mieć charakter, tak mało z niego w dniu niekoncertowej publiczności korzystała. Już w samym początku założenia Towarzystwa wielu było przeciwnych nadaniu tej instytucji tak wyłącznego klubowego charakteru: jakoż doświadczenie tyloletnie okazało, że członków, lubo z tytułu *muzykalnych*, nie przyciągały bynajmniej ani fortepiany, ani gazety, skoro nie mieli przytem ani zielonego stolika, ani choćby... szachów lub domina dla skrócenia wieczora... *Avis au lecteur!*...

Rzecz szczególna, że ile razy zjawi się u nas włoska opera, zawsze jej czegoś brak... zawsze przesładuje ją jakaś „fatalność“. Naprzykład i w tym roku przybyła trupa dobrze zorganizowana, mająca znakomitą mezzosopranistkę pannę Pasqua, wcale dobrą sopranistkę Turolla, świetnie śpiewającego, lubo niemogącego chodzić barytonistę, pana Verger, dobrego bassa pana Seidemanna, który obok pięknego głosu i umiejętnego śpiewu posiada tę jeszcze zaletę, że jest Warszawianinem. Ma nawet ta trupa i swego dyrektora, bez którego, lubo bardzo jest dobrym artystą, moglibyśmy się nawet obejść, gdyby nie to, że p. Trombini już usunął się z teatru. Czegoż więc brakło tej trupie? Oto brakło jej przedewszystkiem tenora. Pan Corsi bowiem jest już emerytem, pan Signoretti zaś z głosem zdrobniałym jak jego nazwisko, był dostatecznym zaledwo w mujejszych rolach, ale zato w „Aidzie“ zginął zupełnie. Następnie brak było tej trupie całości; gdy bowiem „Trubadur“ z powodu dobrej obsady bardzo się podobał, inne opery, jak „Aida“, „Faust“, nieraz komiczne w szczegółach wywierały wrażenie. Oczywiście, że wskutek tej okoliczności, brak było również tej trupie i... publiczności, a co do wykonania „zamierzonego“ repertoaru, wystawienia paru nowych oper, w te zapowiedzi już oddawna nikt nie wierzy... Tymczasem p. Münchheimer, nowo kreowany (nareszcie!) dyrektor opery, wystawił miejscowymi siłami wcale przyzwoicie „Mefistofele“ Boito, a pono naprawdę zamysła o „Tannhäuserze“, którego wyborowego przekładu (tak jak i „Mefista“) dokonał już na żądanie Dyrekcyi pan Maxymilian Radziszewski. Pan Trombini, opuściwszy swe stanowisko dyrektora, nie przestaje czynnie zajmować się sztuką; i oto pospołu z p. Barcewiczem, Michałowskim, Noskowskim, Goebeltem bierze udział w czterech wieczorach poświęconych muzyce kameralnej, które odbyły się w Resursie Kupieckiej. Grali ci panowie ślicznie: cóż kiedy przedsięwzięcie nie opłaciło się bynajmniej materialnie... a podobno i *moralnie*, bo zamiast grać takie arcydzieła przed pustymi krzesłami, czyż nie lepiej je już grać w domu u siebie? Barcewicz i Trombini kolejno w tych wieczorach trzymali pierwsze skrzypce, wykonywano kwartety Beethovena, Mozarta, Haydna, Schuberta, Schumanna, Czajkowskiego, kwintet Raffi, kwartet Noskowskiego i t. d. Gdybyśmy wiedzieli, że nasza publiczność, do kwartetów nie skora (chyba do wistowych!), da się złowić na tę wędkę, tobyśmy radzili, aby na przyszłość przepłatać te posiedzenia kwartetowe numerami wokalnymi, tak jak się to dzieje zagranicą.

Tak więc, muzykalna Warszavo! na kwartety nie chodzisz, pozwalasz upadać Towarzystwu Muzycznemu, orkiestrze Noskowskiego, a jednak sławy twej muzykalności nie tracisz jeszcze; posiadasz w swem łonie bowiem tyłu zdolnych muzyków, których twórczość tak wyraźnie się budzi, że ci kilkudziesięciu „sprawiedliwych“ odkupią twe grzechy! Z tych „sprawiedliwych“ najważniejszy, Władysław Żeleński mieszka w Krakowie, gdzie już ukończył podobno operę „Wallenrod“; tutaj zaś Noskowski co chwila jakimś większym obdarza nas dziełem: jego kwartet fortepianowy ogólnem się cieszy uznaniem; — inni starsi i młodszy

z podwójną czynnością pracują; pan Ignacy Krzyżanowski, znany już i wytrawny kompozytor, daje nam nową „Sonatę“ na fortepian, dzieło piękne i poważne. Zpomiedzy młodej generacji wyróżnił się Padarewski paru kompozytami i pojechał na ostateczne studia do Berlina; p. Rutkowski napisał niedawno śliczne wariacje na kwartet smyczkowy, grane w Tow. Muzycznym; P. Henisz, uczeń Noskowskiego, wydał zagranicą parę utworów i w „Echu Muzycznym“ dwa kawałki; p. Kania także dawny i sympatycznie znany autor dał do „Echa“ kilka ładnych dzieł w formie poważnych tańców; a kto łaskaw zajrzał do „Echa Muzycznego“ (gdzie zamało jeszcze publiczność zagląda!) znajdzie tam jeszcze wielu innych autorów, których nie wszystkich skromność... wydawnicza wymieniać pozwala...

Nie przepomnieliśmy, ale zostawiamy „pour la bonne bouche“ nazwisko damy; panny Leokady Myszyńskiej, która kilku wydaniami śpiewami okazała, że jest dobrym kompozytorem, znającym harmonią poprawnie i posiadającym i umiejętność i piękne pomysły. Ostatnia pieśń: „Na fujarce“ bardzo jest piękna, a napisana do jednego z tych utworów p. Maryi Konopnickiej, które na nią ściągnęły gromy p. Kowerskiej.

Jan Kleczyński.

## KILKA SŁÓW

O DZIAŁALNOŚCI NAUCZYCIELSKIEJ

**Kazim. Brodzińskiego.**

(Dokończenie)

Zresztą w ciągu całego kursu widoczny jest tak zdrowy i piękny pogląd na zadanie literatury, że musiał on niewątpliwie pociągać serca młodych słuchaczy, musiał wycisnąć swe piętno na ich umysłach. „Jeżeli naród, powiada Brodziński, jako jedna osoba wpływa na całe społeczeństwo, według swojego charakteru, położenia i rządu, koniecznym jest celem narodowej literatury, żeby się tasama osoba według swego położenia doskonaliła. Ztąd wypływa powinność dla każdego pisarza: poznać i zgłębiać przynioty i potrzeby swojego narodu, poznać, jakim jest, aby był takim, jakim być może i powinien, żywić i posuwać co dobre, wykrywać i tępić co złe, oglądać się na postęp i korzyści światła w postrońnych narodach, mierzyć je ze stopniem oświecenia swojego kraju, zważać co mu najpotrzebniejsze i najwłaściwsze: zgłębiać byc uczniem i radcą swego narodu, kochać go razem ojcowską i synowską miłością, a ta będzie jedynie niewyczerpanym źródłem, z którego natchnienie czerpiemy“.

Zawsze w sądach obiektywny, mówi dalej w tejże rozprawie: „Nie masz rozumu tylko spokojny, gdyż on wynika z doświadczenia i porównania“.

Widzimy ze słów powyższych, że Brodziński pragnął dla Polaków światła wiedzy i postępu, że radził ich szukać u sąsiadów; ale też jednocześnie w innych ustępach pism swoich, w wykładach uniwersyteckich, jaknajzarliwiej przemawiał za samodzielnością. Każde on przechowywać i kształcić pojęcia rodzime, wszelkie zaś naśladowanie „obcych smaków, choćby najlepszych“ jest podług niego zgubnym i szkodliwym. „Nie widzę zba- wienniejszych celów prac uczonych, nad ten, żeby wyobrażenia polityczne, religijne i filozoficzne najściślej z potrzebą i smakiem narodu połączyć“<sup>1)</sup>.

Mozolne, żmudne a zawile badania o tyle jedynie, podług niego, ogółowi korzyść przynieść mogą, oile zdołają naukę uprosić i rozjaśnić. Ztąd nasuwa mi się oryginalna myśl, niesłusznie potępiona przez p. Marrené jako wsteczna, a sprawiedliwie obroniona przez p. Chmielowskiego<sup>2)</sup>: „Czemuż się od tej myśli uwolnić nie mogę, że przyjdą

sześcieliwe czasy, iż te ogromne fabryki (pism i książek) czasem ustana, że których szczęśliwy lud, osiągnawszy z nich tę ostatnią wynikłość praktyczną: mądrość, prostotę, miłość pokoju i oszczędność, uwolni się od tego ogromu nauk, których rozstajne drogi odrywają towarzystwu współpracowników od pierwszych jego potrzeb i lud raz niewieściem, drugi raz fanatycznym czynią. Wszystkie te ogromne księgi, komentarze, spekulacje filozoficzne, wszelkiego rodzaju spory uczone, zaginęą kiedyś zaniedbane, jak owe stroje rycerskie, których ogromowi teraz się po starych zamkach dziwny“<sup>1)</sup>.

Brodzińskiemu chodziło tutaj przede wszystkim o to, co nauka da społeczeństwu, jakich mu wychowa obywateli, którzyby o „pierwszych potrzebach kraju“ nie zapominając, tak tylko używali nauki i piśmiennictwa, aby wiedzę zubożać i naprzód posunąć, nie zaś bezowocną erudycją obciążać półki księgarskie.

W dalszym ciągu tejże rozprawy wykazuje Brodziński potrzebę ułożenia słownika wyrazów filozoficznych, a to w tej myśli, że bliższe zgłębienie przedmiotu zmusiłoby nas do lepszego zbadania strony filozoficznej języka, a terminów filozoficznych, z naturą języka zgodne, usunęłyby liczny, a podówczas w piśmiennictwie naszym rozpowszechniony zastęp wyrazów dziwacznie złożonych i do niemieckich spekulatywnych wywodów naciągniętych.

W innych pracach swoich, jak n. p. w staranych *Synonymach polskich*, rozwinął Brodziński wielce gruntowną znajomość języka i delikatnego poczucia wszystkich jego właściwości. Życzyć-by należało, aby przy wydawnictwie słowników, gramatyk i t. p. prac lingwistycznych na pozostałą po Brodzińskim puściznę pilniejszą zwracano uwagę.

Już-to niestrudzony nasz Kazimierz z Królówki szczególnie dbał o czystość języka, sam dawał przykład wzorowego stylu, a nadto pracował jeszcze nad tym przedmiotem jako nauczyciel. Przy wykładzie literatury studenci robili pod okiem jego ćwiczenia stylistyczne, które on poprawiał i objaśniał; co więcej zostawił cały, starannie opracowany, kurs nauki *O Stylu*, który w ogólnym zbiorze jego pism obszernie miejsce zajmuje.

We wstępie do tego kursu robi Brodziński uwagę, rzucającą pewne światło na stopień przygotowania naukowego wstępującej podówczas na uniwersytet młodzieży, a mianowicie mówi, że *wielu studentów przychodzi do uniwersytetu małe jeszcze mając o retoryce języka polskiego pojęcie*.

Kurs swój dzieli Brodziński na dwie części: jedną, traktującą o zaletach, drugą o wadach stylu. Cały wykład jest praktycznie obmyślany szczegółowo i gruntownie opracowany. Zresztą, kto tak pięknie pisał, jak Kazimierz z Królówki, ten nie mógł też źle retoryki wykladać. Ogólnym zaś i charakterystycznym rysem tego kursu jest dążenie do tego, aby słuchacze poznali przede wszystkim ducha języka, aby wyrażali swe myśli z prostotą, jasno a dobitnie.

I tu znów zauważyć musimy, iż nauka stylu, tak często sucho i niejasno młodzieży naszej po średnich zakładach naukowych udzielana, a przez to samo przedstawiająca się młodym umysłem niby jakiś ogromny labirynt, wiele-by na tem zyskała, gdyby ją wykładano z taką jasnością i systematycznością, jakimi się zaleca kurs Brodzińskiego.

Zadanie swe, jako przewodnika młodzieży, pojmował Brodziński wszechstronnie i rozległe. W mowie „O powołaniu młodzieży akademickiej“, czytanej na publicznym posiedzeniu królewskiego uniwersytetu, mieni się być doświadczeńszym jedynie przyjacielem młodzieży; do tej zaś młodzieży odzywa się, mówiąc o jej powołaniu, że zadaniem studenta: nie nagromadzać jaknajwięcej wiadomości, lub też wykładu profesorów dosłownie się wyczuwać, ale umysł swój według wskazówek nauczycieli kształcić czytaniem dzieł do rzeczy się odnoszących, zapisywaniem swoich nad nimi spostrzeżeń etc. „Trzeba więc najprzód powziąć wyobrażenie, że do uniwersytetu po to przychodzimy, abyśmy, odpowiadając powołaniu

gruntownie oświeconych, kształcili się najpierw, jako ludzie myślący i działający według zasad i w tem dopiero ukształceniu nabywali obranej umiejętności“. „Człowiek jest ograniczoną, myślącą i czującą istotą; te wszystkie względy wskazują, iż powinien poznać istotne swe ograniczenie, a w tym zakresie swe powołanie, przeto winien się doskonalić religijnie, umysłowo i obyczajowo“.

Jak głęboko zaś w Brodzińskim wkorzone było zamiłowanie równowagi duchowej, jak subtelny był jego wrodzony zmysł pedagogiczny, dowodzi ta okoliczność, że w temsamem przemówieniu rozbiiera z równym zapalem korzyści płynące dla młodzieży ze wszystkich gałęzi nauk, bez względu na to, czy te są dla niego przystępnym i ciekawym przedmiotem, i trafnie bardzo zaleca szczególnie nauki przyrodzone, jako rozwijające najbardziej umysł na podstawach ściśle określonych, trzymające fantazyę na wodzy rozsądku, i przeczuwa niejako doniosłość dzisiejszych wyników badań przyrodniczych, kiedy mówi: „Szczęściem więc, że wzrost nauk przyrodzonych, nietylko do naszych potrzeb stosowanych, ale i uważanych za żywił do badań filozoficznych, będzie zawsze stanowczą przewagą przeciw wyłotom abstrakcyjnym“.

Nie rozumiemy jednak przez to, iżby Brodziński miał ganić u młodzieży owe szlachetne a poetyczne porywy, jakimi poezya młode zapala umysły. Owszem zaleca on czytanie poetycznych arcydzieł i mówi, że choćby tego, co przeczytają zupełnie zapomnieli, to korzyść moralna z uniesienia chwili nazawsze pozostanie. Trafna to bardzo uwaga i dziś jeszcze w kierownictwie młodych umysłów, często zapominamy o tym głównym celu pedagogicznym, jakim przede wszystkim jest *rozwijanie umysłu i serca*, a szukamy natomiast, zarówno w przedmiotach naukowych, jak i w podawanych do czytania książkach namacalnych utylitarnych korzyści, niepomni na to, że ta młoda główka oględnie zaopatrywaną być musi, bo inaczej nauka stanie się dla niej jakimś oschłym, obcym przedmiotem, który będzie miał dla niej charakter jakiejś smutnej nieuniknionej konieczności. Gdy jednak wiadomości pożyteczne, systematycznie podawane, przepłatać będziemy od czasu do czasu czytaniem zajmującym, które do fantazyi i imaginacyi przemówi, wtedy i umysł się odświeży, po długim natężeniu odpocznie i sposobniejszym do dalszej pracy się stanie. Tak się rzecz ma z młodem bardzo główkami, z dziećmi: u młodzieży dorastającej potrzeba na fantazyę i serce oddziaływającego czytania jest tem wyraźniejszą, że tu już możemy poniekąd rozpoznać owoce wychowania i przekonać się najłatwiej jak niebezpiecznym jest kształcenie samego tylko rozumu z pominięciem rozwijania zalet i przyniotów serca.

Brodziński w kursie Estetyki, kiedy mówi o *imaginacyi*, ceni wysoko tę władzę duszy, nazywając ją „pamięcią czucia“, „jedną z najcudowniejszych władz człowieka“. Przyznaje zaś jej tak szeroki zakres działania w całym rozwoju ducha ludzkiego, a szczególnie w jego twórczości, że liczy się z nią, jako z darem szacownym i, aby dar ten należycie wyzyskać, radzi wzmacniać go przez wprawę, t. j. obserwowanie rzeczy zewnętrznych z ich strony najoryginalniejszej, tej, która twórczość imaginacyi pobudza. I tak, poeta obserwuje tęczę, zachwyca go ona jako piękność, a zarazem nasuwa na myśl łąki kwieciami usłane, mitologią i t. d. Filozofowi tensam widok nasunie myśli inne; uczonemu o łamaniu się, o promieni, barwach etc.

Zbyt żywej imaginacyi radzi B. umiarkowanie, pracę nad naukami ścisłymi; słabą imaginacyą uważa za zdolną do rozwinięcia przez ćwiczenie.

Imaginacya podług Brodzińskiego, choćby najbardziej twórcza, nie może bezkarnie wyłamać się spod rygoru koniecznego porządku. Nie jest prawdziwym pisarzem ten, kto z mniemaną swobodą przesuwa w utworach swoich przed naszą wyobraźnią obrazy niebędące ze sobą w organicznym związku. Ale przede wszystkim przestrzega Brodziński, i to się nam najsluszniejszym i dziś jeszcze zastosowania godnym wydaje, aby każdy bez wyjątku wykształcony człowiek pracował, nietyle nad nagromadzeniem w pamięci swojej, a temsamem i w wyobraźni, jaknajwiększej liczby pięknych obrazów, oryginalnych myśli i utworów

1) Uwagi o duchu i dążeniu pisarzy i krytyków etc. Pisma T. IV, str. 453.

2) *Ateneum*, Listopad 1881.

1) *Rozpr. O dążeniu pols. liter.* „Pisma“, T. VI, str. 307 i 8.

innych poetów, pisarzy, artystów, ile raczej nad tem, żeby je przetrwać, odczuć tak, jakgdyby je drugi raz przeżył, a nie wyczuć się ich, zρέcznie zastósowując lub naśladowując.

Piękne obrazy, widziane w życiu, uszlachetniają ducha, kształcą smak i uczucie; ale poprzestawać na nich żadną miarą nie należy. My także mamy przecież duszę, serce i imaginację: niechże więc ta imaginacja, na pięknych wzorach kształcona, sama stara się tworzyć, niech pracuje, patrzy w świat zewnętrzny, w przyrodę, niech tworzy nowe obrazy, czy-to jako imaginacja poety czy artysty, czy zwyczajnej jednostki społecznej. Gdy tak postępować będziemy, wtedy mniej będzie tużinkowych poezyj, przeżuwających ciągle genialne pomysły naszych romantyków, mniej manierowanych obrazów, mniej może nudnych, bo już na dawno obrabiony temat układanych powieści, mniej wreszcie, a to może najważniejsza, tych typów tak szablonowo do siebie podobnych w życiu samem, niezdolnych do żadnej samodzielnej, śmiałej a rzeczywistej dla ogółu pożytecznej myśli.

„Tak pilne i troskliwe polowanie na cudze myśli, tworzy, zamiast poetów, biednych i skrzętnych naśladowców, niewolniczych sektarzów tej lub owej szkoły, ale nie ludzi tworzących i myślących przez siebie. Kto ma wierną pamięć, bystre objęcie i pracowitość, ten może na rozległym polu wiadomości i nauk obficie zebrać wawrzyny; ale bez skrzydeł imaginacji niech się nie puszczą na górę Olimpu. Lecz szczęśliwy, tym darem zaszczycony, puszcza się o własnej sile na miejsca bezślednie i przykrą się drogą nie zrazi. Każde miejsce, każde zdarzenie, otwiera mu rozległe pole do nowych, z nim w związku będących, pomysłów; z najodleglejszych zakątków stworzenia gromadzi on materiały do swoich utworów.“<sup>1)</sup>

Brodziński, będący sam uosobioną prostotą, zaleca też naturalność, i w jednym ze swych listów o polskiej literaturze, wykazuje jak łatwo ją postradać w postępowaniu, w dowcipie i t. d. „Dokonalny, mówi tamże, nasz charakter, powróćmy mu to, co mu zepsucie odjęło: a umysł nasz stanie się jego narzędziem, odzyska wolność, otwartość i naturalność, skoro nie będziemy mieli przyczyny wstydić się własnych uczuć“.

W tomie VII-m ogólnego zbioru pism Brodzińskiego na str. 298 jest kilka słów (zapewne myśl rzucona w przelocie), z których także możemy poznać zapatrywanie się zasłużonego męża na niektóre kwestye pedagogiczne; pogląd to tak zdrowy a prosty, że pozwolimy sobie przytoczyć go tutaj. Całą tajemnicą sztuki wychowania u rodziców n. p. jest podług Br. stałość charakteru, pokój duszy, bystrość i jasność umysłu. „Kto, ile możliwości, trzyma się zawsze jednych prawideł religii i rozumu, ten buduje trwałe szczęście swych dzieci, bo na mocy charakteru wszystko polega“. W wychowaniu rodzinnem, mianowicie moralnem, przyznaje Brodziński największy wpływ matce, szczególnie na synów, a to dlatego, że syn, zdaniem jego, więcej się przywiązuje do matki. Choć obojga rodziców równo kocha, śmielszym jest do swej rodzicielki: dlatego też enoty matek utrwalają się w synach, a wady ich nieraz o złym kierunku życia ich dzieci stanowią.

Na każdym kroku śledził Brodziński postęp wiadomości pedagogicznych w kraju naszym, tak podówczas zaniedbanych. On to zachęcił do pióra pannę Tańską; on, rozpoznawszy rodzaj jej talentu, nakłonił ją do nadania pracom jej literackim tego, tak później pożytecznego, kierunku. Kiedy wydała *Pamiętkę*, Brodziński napisał z tej okazji kilka słów *O książkach dla młodzieży i autorce „Pamiętki po dobrej matce“*. Z radością on tu powitał

1) Ob. *O imaginacji*; ogólnego zbioru dzieł T. VI, str. 114 nast.

pierwszą pracę poświęconą wychowaniu kobiet polskich i wyłożył wielką takich prac potrzebę.

Jako nauczyciel języka polskiego wykładał i poetykę; a ponieważ, cokolwiek przedsiębrał, czynił to zawsze, dobrze zgłębiwszy swój przedmiot: więc w tym zakresie działalność jego nie pozostała bez zasługi, choć, wogóle bardziej literackiej natury. Między innemi zauważył Br., że składnia polska w poezyi niewiele się różni od składni w prozie.

W takich-to ogólnych, bardzo jeszcze niewyraźnych, raczej kierunek niż samą treść działalności pedagogicznej ukazujących, rysach przedstawia się ten, którego nie bez zasady Janem Chrzycielem romantyzmu naszego nazwano. Zadanie swe spełnił on sumiennie, z poczucia obowiązku, z miłości dla kraju. Szlachetna ta dusza winna być przykładem: jak w smutnej doli jedynie sumienna praca nad wychowaniem młodych pokoleń wypięłgnąć je może. To przekonanie swoje wyraził Brodziński wymownie, gdy do licznie zgromadzonej młodzieży uniwersyteckiej w te odezwał się słowa:

„Trudne, zaiste, jest powołanie twoje zacna młodzieży akademicka! Wiek dzisiejszy mylną rachubą rozumu zawiedziony, namiętnościami zakłócony, chciałby tobie przez wychowanie spokojniejszą zapewnić przyszłość...“

M. P.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. *Wiktoryi* M. Zachowywanie jaknajwiększej dokładności jest, zarówno dla autorów, jak i dla Redakcyi, zadaniem pierwszorzędnej uwagi. Zajęcie się pani sprawą właściwego brzmienia, jakie powinien mieć wierszyk przypisywany Kochanowskiemu, sprawia nam szczerą przyjemność. Literaturę ojczyzną, a zwłaszcza pisarzy dawnych, każdy z nas, czy-to pisze, czy tylko żyje jako cząstka powszechności, znać i miłować powinien. Co do owego wierszyka, jest on przez podanie tylko utworem Kochanowskiego i oile wiemy, w żadnej z edycji dawniejszych, z XVI i XVII w., nie znajduje się; nie mógł go też do wydania swego włączyć Turowski. Zaznaczył on tylko, że generał Załuski — mąż bardzo światły i zacny — jako utwór

Kochanowskiego powtórzył mu następującą zabawkę poetyczną:

Stanisławie!  
W waszym stawie  
Na Baryczy  
Ryb nie zliczy:  
Złączcież z naszą  
Wina flaszą  
Rybę waszą.

(*Dzieła J. Kochanowskiego*, Przemysł, 1857; Tom II, str. 241). Odmienne brzmienie ma ta fraszka w *Gnieździe hetmańskim*, przyczem zaznaczamy błąd korekty: zamiast „wina“ powinno być: „Ryby“ (swoje). Hofmanowa w swoim *Janie z Czarnolasu* podała istotnie brzmienie odmienne, pełniejsze, dzięki dwuwierszowi:

„A Sycyna  
Nie bez wina“

ale wobec niewiarogodności samego utworu, o obowiązującej mocy tego, a nie innego, brzmienia mówić nie można.

Dodać tu potrzeba, że na Baryczy siedział Andrzej, brat sławnego poety, a jeden z synów tego Andrzeja, miał na imię „Stanisław“, żaden zaś nie nosił imienia „Dobiesław“, które zamieszcza Hofmanowa. Mogła się tu ona tak samo pomylić, jak pomyliła się wtedy, gdy zmarłego w niemowlęctwie syna Jana z Czarnolasu uważała za tożsamego z Janem ciągnącym na wyprawę pod Władysławem IV. O stosunkach rodzinnych Kochanowskiego możesz pani powziąć dokładne wiadomości z sumiennych, bardzo użytecznych i na wydrukowanie w osobnej książce zasługujących, artykułów Gwiaździca w *Korrespondencie Płockim*: rok 1878, Nr 92 i nast.; r. 1879, Nr 65; r. 1880 NN 7 i 8, 16 — 18; dalej z rozpraw i opowiadań Przyborowskiego, Gackiego, Rymarkiewicza, Löwenfelda, wskazanych w *Bibliografii Estreichera*, i wreszcie z pięknie opracowanej przez Przyłęckiego *Wiadomości o życiu i pismach J. Kochanowskiego* przy wyd. Turowskiego.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 13-ty arkusz powieści pod tyt.: *Stoczona walka*.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach.

# PODREĆCZNIK TECHNOLOGII CHEMICZNEJ

przez

**RUDOLFA WAGNERA**

z licznymi drzeworytami w teście

przekład z ostatniego wydania

p. **JULIANA GRABOWSKIEGO**

prof. wszech. lwowskiej.

**Cena Rub. sreb. 6.**

**TREŚĆ.** Z Paillerona, (poezya), przez Wiktora Gomulickiego. — Nić tradycyi, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — P. Wojciech Dzieduszycki o Arystotelesie, przez S. K. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Kilka słów o działalności nauczycielskiej Kazimierza Brodzińskiego, (dokończenie), przez M. P. — Odpowiedź od Redakcyi.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 31 Марта 1882 года.